

Zawsze wiedziałam, że Bóg istnieje, ale wiedziałam, że nie ma Go tam, gdzie miał być: w kościele katolickim.

Jako dziecko chodziłam na religię do salki katechetycznej, a Pierwsza Komunia była dla mnie dość wyjątkowym przeżyciem. Ku mojemu rozczarowaniu, nie zmieniła mnie w lepszego człowieka. W liceum chodziłam do kościoła z obowiązku, raczej po to, by nie zrobić przykrości mamie, jednak gdy tylko mogłam, wyłączałam się i rozmyślałam – bynajmniej nie o Bogu. Czułam, że coś ze mną jest nie tak: nie potrafiłam uwierzyć, że opłatek zmienia się w Pana Jezusa. Spowiedź była moim zdaniem bez sensu, bo i tak wracałam do tego samego, z czego się wyspowiadałam. Więc przestałam się spowiadać, ponieważ mimo wszystko wierzyłam, że Bóg gdzieś tam jest i chciałam być wobec Niego uczciwa. – Gdy naprawdę zacznę żałować za to, co robię, wrócę i się wyspowiadam porządnie – myślałam. Mimo wszystko, miałam czasem poczucie, że Bóg mnie chroni przed najgorszym, bo moje zachowanie było dalekie od rozsądnego i bezpiecznego.

Na drugim roku studiów chciałam znaleźć sobie jakąś dorywczą pracę. Wtedy właśnie wpadło mi w oko ogłoszenie o pracy dla tłumacza na kilka godzin w tygodniu. Zbyt piękne, by było prawdziwe, ale w końcu zadzwoniłam. Z Amerykaninem, który odebrał telefon umówiłam się na spotkanie w centrum handlowym.

Tak poznałam pastora Roberta (Boba) McKinneya, jego żonę Valentinę (Tinę) i córkę Aleksandrę (Allie). Bob przyjechał do Polski kilka miesięcy wcześniej, właśnie przeprowadził się w okolice Bochni i szukał tłumacza, bo chciał założyć zbor baptyistyczny i głosić Polakom ewangelię. Po ponad godzinnej rozmowie dostałam pracę. – Fajni ludzie, ale trochę dziwni. Misjonarze? Po co? Kto wie, czego będą ode mnie wymagać? Nigdy nie byłam święta, może nie spełnię ich wymagań? – myślałam.

Na pierwsze nabożeństwo przyjechałam tuż przed Bożym Narodzeniem 2007. Na początku Bob głosił w większości pustym krzesłom, a jedynymi słuchaczami byli Don i Nadia Orłowscy, drugie małżeństwo misjonarzy, którzy przez pierwsze miesiące istnienia naszego zboru pomagali Bobowi w jego pracy. Przed każdym kazaniem Bob rozmawiał ze mną na temat tego, co miał powiedzieć, bym przygotowała sobie odpowiednie wersety do przeczytania po polsku, odpowiednie słowa i wyrażenia po polsku, a przede wszystkim dobrze zrozumiała treść kazania.

Moim pierwszym życiem przestudiowanym fragmentem Biblii był List do Galacjan. W miarę upływu czasu zaczęliśmy poruszać coraz więcej tematów. Wers po wersie, odkrywałam, że Biblia mówi to, co zawsze podskórnie czułam – przede wszystkim, że dla Boga liczy się autentyczne nastawienie serca. Okazało się, że to w Biblii był ten Bóg, którego szukałam. Nie, właściwie nie szukałam – On znalazł mnie. A ja nadal byłam zbyt zatwardziała, by Go przyjąć.

Jedną z pierwszych oznak, że z moim sercem się coś dzieje, była zmiana nastawienia do samej koncepcji „chodzenia do kościoła”. Pewnej niedzieli obudziłam się bardzo szczęśliwa. – Ale fajnie, idę na nabożeństwo – pomyślałam. I zdębiałam, gdy tylko sobie zdałam sprawę z tego, co mi przeszło przez głowę. – Co ty głupia jesteś? Masz się z czego cieszyć, rzeczywiście!

Po kilkunastu miesiącach, podczas czwartkowego studium Pisma Świętego Bob, Tina, Don i Nadia zaczęli mnie pytać, czy – skoro znam już biblijną prawdę o zbawieniu – podjęłam już decyzję o nawróceniu. Z jednej strony bardzo chciałam odpowiedzieć twierdząco, ale zaczęłam się wykręcać, że jeszcze nie wiem, że nie jestem gotowa, że to przemyślę. Teraz, gdy

o tym myślę, przypomina mi się fragment z Pana Tadeusza, gdzie Telimena proponuje małżeństwo Tadeuszowi, a on – zakochany w Zosi – odpowiada: „Ja jestem tobie wdzięczny, ale niepodobna//Żenić się, kochajmy się, ale tak z osobna”. Mój rozum w pełni zgadzał się z biblijną prawdą, ale gdy przyszło postawić na szali całe dotychczasowe życie, *image* niezależnej, nowoczesnej kobiety... Jak ja z tym wszystkim się pokażę ludziom?!

Co jakiś czas Bob zapraszał do naszego zboru różnych pastorów i misjonarzy, by wygłosili gościnnie kazanie. Podczas którejś z takich wizyt żona naszego *guest speakera* zapytała mnie znów o nawrócenie, a ja znów wygłosiłam grzecznościową formułkę o tym, że jeszcze muszę to przemyśleć. – Miałam dokładnie tak samo – odpowiedziała. – I powiedziałam Bogu tak: Boże, jeżeli naprawdę istniejesz, jeżeli to, co mówi Biblia jest prawdą, zaufam Ci. Ale tylko raz. Jeżeli mnie choć raz zawiedziesz, nie będę chciała mieć z Tobą do czynienia już nigdy w życiu. I wiesz co? Już trzydzieści lat minęło od tego dnia, a On nie zawiódł mnie ani razu.

Słowa pastorek dały mi do myślenia. Skoro rzeczywiście tak można, to czemu nie? Pewnego wieczoru, gdy wracałam do domu po studium biblijnym postanowiłam, że to zrobię. Czułam się jakbym miała wskoczyć do zimnej wody z wysokości klifu. Zwróciłam się do Boga z modlitwą, która miała w sobie trochę z wyzwania: - Boże, zbaw mnie. Od teraz Ci ufam i będę Ci posłuszna. Zrób ze mną tak, jak sam powiedziałeś.

Poczułam, jak wielki ciężar spada mi z serca, ale nic poza tym. Następnej niedzieli powiedziałam o tym w zborze, ale nadal nie do końca zdając sobie sprawy z kroku, który podjęłam. Dopiero studiując Biblię przekonałam się, że znalazłam prawdziwego Boga, Jego żywe Słowo, coś, czego nie zamieniłabym za żadne skarby świata.

Dziś wiem, że z Bożej drogi nie zawrócę, że tylko On jest dla mnie prawdziwym oparciem, że nie bez Niego nie znaczę. To cudowne móc wielbić Boga, który jest Miłością, a jednocześnie Sprawiedliwością, który jest wszechmocny, a jednocześnie zadbał o mnie i moje zbawienie jeszcze zanim się urodziłam.

Cudowny Boże, dziękuję Ci za to jaki jesteś i kim ja jestem dla Ciebie dzięki Tobie.

Grażyna